

Wywiad z ojcem Piotrem Piechockim
przeprowadzony w październiku 2003 roku
w parafii o.o. paulinów
p.w. N.M.P. Częstochowskiej w Toruniu

Czy mógłby się Ojciec przedstawić?

Nazywam się Piotr Piechocki, pochodzę z Warszawy.

Jak wyglądał w życiu Ojca moment nawrócenia?

Był jeden bardzo szczególny moment nawrócenia w moim życiu. Kiedyś, kiedy jeszcze studiowałem na Politechnice Warszawskiej, zostałem, można powiedzieć, zwerbowany do sekty, w której medytowało się. W medytacjach tych wykorzystywano techniki Wschodu. Później głębiej poznałem jogę, był to czas w moim życiu, kiedy byłem uwikłany psychicznie i duchowo. Nadszedł taki moment, kiedy po ludzku nie umiałem sobie poradzić. Rzeczywistość przerastała mnie. Zwróciłem się wtedy do znajomego paulina. Ojciec ten mieszkał wtedy w Warszawie na ulicy Długiej - w naszym paulińskim klasztorze. Zaproponował modlitwę wstawienniczą o uwolnienie, w czasie której Pan Bóg przyszedł z łaską i z wielką miłością. Poczułem się wyzwolony, ogromnie szczęśliwy, pierwszy raz od wielu miesięcy radosny, co było podobno widać w moich oczach. Poczułem jakiś promyk Bożej radości. To był moment nawrócenia, chociaż wtedy nie wiedziałem, jak potoczą się moje dalsze losy.

Jak Ojciec myśli, czy człowiek może formować swoje życie wewnętrzne bez wspólnoty?

Mam doświadczenie różnych wspólnot. Pan Bóg tak stworzył człowieka, że jeden człowiek potrzebuje drugiego. Owszem, można wyjść na pustynię - tak jak wychodzili pierwsi Ojcowie Pustyni, którzy w samotności zmagali się ze swoimi słabościami i pokusami. Oni dali początek życiu monastycznemu. Obok życia monastycznego rozwinęło się życie wspólnotowe, które polegało na tym, że wokół mistrza gromadzili się bracia. On był dla nich ufnym mistrzem i ich nauczał. To pokazuje, że życie wspólnotowe ma inny charakter, ponieważ we wspólnocie Pan Bóg pozwala doświadczać miłości bliźniego. Kiedy jestem sam, to nie mam możliwości objawić drugim swojej miłości. Natomiast jeśli jestem we wspólnocie, to mam możliwość okazywać miłość bliźniego w stosunku do swoich braci. Myślę, że wspólnota jest o wiele lepsza i skuteczniejsza, jeśli chodzi o formację duchową.

Wiem, że Ojciec należał do wspólnoty. Jaka to była wspólnota?

Na początku należałem do wspólnoty akademicko-pielgrzymkowej, trochę charyzmatycznej, która działa przy naszym klasztorze na Długiej w Warszawie (początkowo naszym pasterzem był ojciec Krzysztof Kowalski). Wspólnota ta miała charakter modlitewny, słuchaliśmy również Słowa Bożego i rozważaliśmy je. Jednak później wszedłem na drogę konkretnej formacji we wspólnocie neokatechumenalnej, gdzie byłem około trzy i pół roku. Doszedłem do etapu pierwszego skrutinium.

Kogo tam Ojciec spotkał?

W tej wspólnocie byli wszyscy. Przekrój trzech pokoleń: od dzieci, przez rodziny, ludzi samotnych, aż po osoby starsze. Mówiliśmy, że nasza wspólnota jest rozwojowa. Chodzi o to, że wiele młodych osób się w niej poznało i stworzyło rodziny. Są teraz małżeństwami, mają wiele dzieci - to jest taki niesamowity owoc tej formacji (*śmiech*).

Czy ci ludzie pomogli Ojcu odkryć powołanie?

Owszem. Pomocne dla mnie było wspólne dzielenie się Słowem Bożym, komentarze do czytań, które przygotowywały osoby ze wspólnoty. Muszę jednak przyznać, że chyba największy wpływ na odkrycie mojego powołania miało samo Słowo Boże - jego czytanie i rozważanie. We wspólnocie doświadczyłem czegoś wspaniałego. Chodzi o to, że ludzie dzielą się swoim doświadczeniem Słowa, co pozwala zobaczyć, że inni również mają problemy i też poszukują. W mojej wspólnocie były osoby, które odnalazły swoje powołanie. Przykładem jest ojciec Ireneusz Pyłka, który jest ode mnie dwa lata starszy. On też rozeznał swoje powołanie we wspólnocie. Jeździłem również na specjalne konwiwencje powołaniowe. Byłem nawet na takim głównym spotkaniu z Prymasem Polski na Torwarze, w którym uczestniczyło ponad siedem tysięcy ludzi. Tam deklarowało się pójście drogą pełniejszego naśladowania Chrystusa.

Co to jest powołanie i jak je Ojciec odkrył?

Powołanie to jest jakiś głos Boży, jakaś wewnętrzna pewność, która wzrasta. Wezwanie, żeby pójść w jakimś kierunku. Ja to zacząłem odkrywać po moim pierwszym nawróceniu, kiedy Pan Bóg dotknął mnie ogromną łaską. Zawsze jakoś miałem w pamięci i myślach Matkę Bożą, którą uważam za autorkę mojego nawrócenia. Skoro Matka Boża i paulini byli postawieni na mojej drodze życiowej w tamtym okresie, to pomyślałem, że jeśli Pan Bóg wzywa mnie do doskonalszego życia, to chciałbym żyć jak paulini. Od momentu, kiedy poczułem w moim sercu powołanie, do chwili, kiedy wstąpiłem do zakonu, upłynęły dwa lata. W tym czasie zdążyłem skończyć studia na Politechnice Warszawskiej, a na Drodze Neokatechumenalnej doszedłem do etapu pierwszego skrutinium, które było dla mnie

mocnym doświadczeniem. Po skończeniu studiów i po pierwszym skrutinium mogłem spokojnie podjąć decyzję o wstąpieniu do zakonu.

Jak najbliżsi zareagowali na tę decyzję?

Nie najlepiej. Ale ja już wiedziałem. Na Drodze Neokatechumenalnej mówi się często, że do zbawienia jest potrzebny Krzyż. Ja otrzymałem wtedy krzyż niezrozumienia przez moich rodziców. Oni nie mogli tego pojąć i ciężko im było przyjąć moją decyzję, tym bardziej że wcześniej absolutnie tego nie deklarowałem i zawsze chciałem mieć żonę i dzieci.

A kiedy jest się we wspólnocie neokatechumenalnej to normalne, że...

Tak, tak, oczywiście. Wracając do moich rodziców - rzeczywiście wielkim trudem było dla nich zaakceptowanie mojego wyboru. Akceptacja przychodziła stopniowo. Kiedy wstąpiłem do nowicjatu, a później przeszedłem do seminarium, to widziałem, że Pan Bóg zmienia ich serca. Teraz są już przekonani i niedawno wspólnie przeżyliśmy święcenia na Jasnej Górze.

Co takiego wydarzyło się 7 czerwca tego roku?

No właśnie (*śmiech*) święcenia kapłańskie - jeden z najważniejszych momentów na drodze mojego powołania. Po odkryciu i wyrażeniu zgody na to, co Pan Bóg chce ze mną zrobić, pierwszym krokiem było rozpoczęcie nowicjatu. Przez okres nowicjatu i studiów w seminarium utwierdzałem się w przekonaniu, że to jest rzeczywiście właściwy wybór. W końcu były śluby wieczyste, które związały mnie z zakonem na całe życie, później diakonat, a 7 czerwca tego roku święcenia prezbiteratu, czyli taka pieczęć, która sprawia, że Duch Święty po prostu posyła mnie do ludzi.

Jest Ojciec kilka miesięcy po święceniach. Jak opisałby Ojciec swoje kapłaństwo?

Chociaż mam tak krótki staż, odkryłem, że w kapłaństwie najbardziej realizuję się przez spowiedź. W czasie spowiedzi doświadczam, że jest to rzeczywiście szczególna łaska (może każdy kapłan to tak przeżywa?). Mam na myśli to, że spowiadając wiem, że jestem na właściwym miejscu. Nie mam wtedy żadnych lęków, żadnego strachu przed tym, co się dzieje, bo czuję w sobie działanie łaski Bożej. To mnie umacnia i daje światło, jak rozwiązywać problemy ludzi. Wiem, że moje kapłaństwo będzie się rozwijać, już teraz czuję, że spowiadanie jest dla mnie największym doświadczeniem. Zawsze chciałem być dobrym spowiednikiem, a także kierownikiem duchowym - to mnie jakoś szczególnie interesowało już w seminarium. Napisałem pracę magisterską z duchowości - o św. Teresie z Avilla i ten kierunek prowadzenia ludzi do Boga i sposób spowiadania mnie pociąga. Na razie jest to dla mnie największa wizytówka mojego kapłaństwa. Później naturalnie dojdą inne - będzie

głoszenie Słowa Bożego, nauczanie w katechezie i moje kapłaństwo będzie się coraz pełniej realizować.

Jakie ma Ojciec wspomnienia z prymicji w rodzinnej parafii?

Bardzo wzruszające. Szczególnie wzruszający był moment, kiedy rodzice mnie błogosławili, ponieważ pamiętam, że początkowo było im ciężko przyjąć moją decyzję, wiem, że cierpieli z tego powodu. Stąd też moment przed prymicją, kiedy rodzice położyli na mnie ręce i błogosławili mnie na drogę mojego kapłaństwa, był szczególny, ponieważ poczułem akceptację z ich strony i zgodę na to, żeby wypełniła się wola Boża. Widząc ich wzruszenie, zrozumiałem, że są szczęśliwi. Drugim ważnym momentem była chwila, kiedy mogłem pobłogosławić rodzicom i innym ludziom. Zawsze lubiłem błogosławić. Pamiętam, że, kiedy mój tata jechał po południu do pracy, stawałem ukradkiem za firanką i nie będąc jeszcze wtedy diakonem, błogosławiłem mu, aby szczęśliwie dojechał i wrócił. Tak się stało, że błogosławieństwo Boże i obdarowywanie innych tym darem ma dla mnie wielkie znaczenie.

Co najbardziej zapamiętał Ojciec z wcześniejszego pobytu w Toruniu?

Przede wszystkim ogromną otwartość i życzliwość ludzi. Poza tym - obecność tak wielu młodych ludzi działających w parafii. Jest to dla mnie czymś niesamowitym, ponieważ podglądając inne parafie diecezjalne czy zakonne, nie spotykałem się często z młodymi ludźmi w kościele. I można by było pomyśleć, że Kościół stanowią w zasadzie „panie wcześniej urodzone”, które rzeczywiście modlą się bardzo dużo i w niektórych wypadkach to one stanowią trzon parafii. Fakt, że w tej parafii jest obecna tak duża liczba młodzieży, sprawia, że odczuwam pewną nadzieję i radość. Wierzę, że tym ludziom będzie można przekazać te wartości, które są rzeczywiście najważniejsze. Oni przecież kiedyś założą swoje rodziny, będą mieli dzieci i będą wiedzieli, co im z kolei przekazać.

A jak Ojciec zareagował na kolejne zaproszenie do Torunia?

Kiedy Ojciec Generał podczas ostatniej z rozmów ze mną - przed święczeniami - zapytał mnie, co bym chciał robić i gdzie bym chciał pojechać, nie dałem mu żadnej szczególnej wskazówki. Za to powiedziałem mu, że ufam, iż Pan Bóg posługuje się ludźmi i posługuje się również moimi przełożonymi. Po prostu ufam, że to właśnie Pan Bóg działał przez ręce moich przełożonych. To On zdecydował, że mam przybyć do Torunia. Cieszę się z tego bardzo (*śmiech*)! Mam nadzieję, że mój pobyt w Toruniu będzie owocny.

Czy ma Ojciec pomysł, jak przyprowadzić ludzi do Jezusa i zainteresować młodych Ewangelią?

Wiem na pewno, że nie wystarczy moje słowo, moja mądrość i inteligencja - nawet jeśli ściągnę ludzi do kościoła. Potrzeba jest czegoś więcej, przede wszystkim - Słowa Bożego, które daje światło na życie i rozwiązuje problemy oraz Łaski Bożej, która działa w sercach. Na pewno będę się starał budować na tym, na czym budował św. Paweł apostoł, który mówił, że nie przychodzi ze swoją mądrością i inteligencją, ale z Krzyżem Jezusa Chrystusa i Słowem Bożym. Myślę, że jest to najbardziej skuteczny środek. Zresztą Pan Jezus powiedział: „głoście Ewangelię, a nie głoście samych siebie”. Ewangelia ma moc czynienia wiary w nas, a wiara jest potrzebna do zbawienia. Na pewno będę w ten sposób głosił Jezusa Chrystusa, który jedyny jest zdolny zgromadzić ludzi wokół siebie. A ja będę się starał być widocznym narzędziem w Jego rękach.

Czy ma Ojciec jakąś pasję?

Można powiedzieć, że moją pasją jest słuchanie ludzi. Bardzo lubię słuchać innych, kiedy opowiadają o sobie, o swoich problemach, ponieważ czuję, że w jakiś sposób mogę im pomóc, doprowadzić ich do Jezusa Chrystusa. Mogę zatem powiedzieć, że moją pasją jest sam człowiek w całej istocie. Bardzo lubię góry i ciszę. Chodząc po górach, w lesie czy nad jeziorem można się wsłuchać w to, co jest w sercu człowieka, wyciszyć się. Jest to również dobry moment na spotkanie z innym człowiekiem. Takie miejsca sprawiają bowiem, że ludzie bardziej się otwierają, potrafią opowiedzieć o swoich problemach.

Czego można życzyć młodemu kapłanowi na początku pracy duszpasterskiej?

Bardzo liczę na modlitwę ludzi, którym będę posługiwał. A czego można życzyć? Na pewno cierpliwości, łask Ducha Świętego potrzebnych do współpracy z ludźmi i głoszenia Dobrej Nowiny o Jezusie Chrystusie.

Podczas błogosławieństwa zaobserwowałam, że wzrusza się Ojciec na widok dzieci. Czy rzeczywiście dzieci są tak bardzo bliskie Ojca sercu?

Tak, bardzo lubię dzieci. W moim domu jest teraz dwuletnia bratanica Patrycja. Jest naprawdę oczkiem w głowie wszystkich domowników i takim niesamowitym promykiem radości. Bardzo lubię dzieci. Lubię patrzeć jak się zachowują, jak się modlą - są po prostu jeszcze takie niewinne.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmowę przeprowadziła Barbara Kalinowska.